

KRÓL

Katarzyna Ryrych
Król

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

W książce wykorzystano fragment piosenki
Jeden Osiem L *Jak zapomnieć.*

Okładka: Elżbieta Chojna
Redakcja, korekta i skład: Lidia Kowalczyk,
Joanna Pijewska, Aleksandra Różanek

Wydanie III

ISBN 978-83-7672-405-8

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2017
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wyd-literatura.com.pl

**KATARZYNA
RYRYCH**
KRÓL



INTRO

Stoję i z wysokości sceny patrzę na kłębiący się tłum. Mają po piętnaście, szesnaście, może siedemnaście lat. Są niewiele młodszy ode mnie.

Są stąd.

Dlatego mnie rozumieją. Dlatego ja rozumiem ich.

Wiem, na co czekają, ale muszę podgrzać atmosferę.

Każdy koncert to otwieranie ran.

Zaczekam, aż zaczną skandować: „Broo-klyn, Broo-klyn”, i po raz kolejny cofnę się do tamtego lata.

Chłopaki z zespołu niecierpliwą się. Perkusista nerwowo bębni, spec od klawiszy po raz kolejny poprawia czapkę.

Jeszcze trochę. Jeszcze chwila.

Patrzę przed siebie i widzę światła w oknach. Gdzieś daleko jest Brooklyn. A ktoś naprawdę mi bliski – nie wiadomo gdzie.

– Broo-klyn! Broo-klyn! – wyje widownia.

Staję za pulpitem i kładę ręce na płytach.

Tego wieczoru po raz kolejny opowiem pewną historię. Dziwne, że wciąż chcą słuchać.

Daję znak kumpłowi przy klawiszach. Zaczynamy.

*Moje okno na świat, w którym nie ma nadziei,
gdzie nic się nie zmienia, bo nic się nie dzieje,
gdzie wyrywasz życiu chwile, żeby mieć je dla siebie.
Z tego czasu pamiętam niewiele, tylko ciebie.
Lekcje życia i prawdy, radości i goryczy,
kiedy wracam do tego, moje serce aż krzyczy.
Moim skarbem największym te dziecinne wspomnienia,
kiedy wierzy się w szczęście, kiedy wszystko się zmienia.*

Będę powtarzał ten kawałek wiele razy tej nocy. Nie dlatego, że jestem dobry, chociaż naprawdę jestem.

Dlatego, że to jest o nich. Dlatego, że to jedyna prawdziwa piosenka, jaką udało mi się stworzyć.

I

Miałem siedem lat i byłem największym dupkiem w okolicy. Dzisiaj myślę zupełnie inaczej, ale wtedy naprawdę byłem największym frajerem.

Zacząło się w pierwszej klasie, kiedy pani posadziła nas w ławkach i zapytała, kim chcemy zostać, kiedy dorośniemy.

Dopóki nie nadeszła moja kolej, wszystko było normalnie. Pięć aktorek, trzy piosenkarki, jedna celebrytka, jeden żołnierz, dwu strażaków, prawnik, dentysta, dziennikarz... nawet kandydat na prezydenta.

– A ty? – zapytała pani.

Oczy wszystkich zwróciły się na mnie.

– Wiedźminem – odpowiedziałem.

Od pół roku żyłem opowieściami o GERALCIE z Rivii, po nocach śniły mi się strzygi i krasnoludy i chociaż krew lała się strumieniami, czułem się w tym świecie bezpiecznie.

Miałem dość widoku prawdziwej krwi z mojego nosa, kiedy ojciec wpadał w szał i matka nie była w stanie nas rozdzielić.

– Kim? – zapytała pani, a jej oczy zrobiły się okrągłe jak dwa niebieskie guziki.

– Wiedźminem – powtórzyłem.

W klasie panowała taka cisza, że słysząc było brzęczenie tłustej jesiennej muchy.

– A, Sapkowski – powiedziała pani po namyśle i doszedłem do wniosku, że jest całkiem rozgarnięta.

Jednak po chwili zmieniłem zdanie.

– Ale ja pytałam, kim naprawdę chciałbyś zostać – dodała, patrząc na mnie z dziwnym uśmiechem.

Przypominał uśmiech Integracyjnego, który nie miał żadnych planów na przyszłość i, siedząc w kącie, dłużał sobie w nosie.

– Wiedźminem – powiedziałem po raz trzeci.

– To musicie się jeszcze zastanowić – uśmiechnęła się pani i domyśliłem się, że mówi do mnie i Integracyjnego.

I wtedy cała klasa ryknęła śmiechem.

Śmiały się aktorki, piosenkarki, celebrytka piszczała, jakby ktoś wrzucił jej za kołnierz chrabąszcza, strażacy podskakiwali na swoich krzesłach, a dentysta pokazywał aparat z kolorowymi gumkami.

Kiedy wszyscy się uspokoili, pani rozdała kartki z bloku i kolorowe kredki i musieliśmy narysować coś, co wydarzyło się w wakacje. Gapiłem się na pustą kart-

kę i wiedziałem, że pani nie podejdzie do mojej ławki, bo już pierwszego dnia zobaczyła, kim jestem.

Pomyślałem, że powinienem narysować mojego ojca, jak leży przypięty do łóżka pasami, a pielęgniarki patrzą, czy przypadkiem nie udało mu się uwolnić.

Mogłem zrobić komiks. Nad łóżkiem narysować parę dymków i wpisać tam wszystko, co wrzeszczał. Rysunek wyszedłby naprawdę fajny, bo pani z zerówki powiedziała, że mam prawdziwy talent.

Ale to była pierwsza klasa, szkoła na drugim końcu miasta – wszystkie miejsca, w których byłem rozpaczliwie nowy.

I na dodatek śmieszny.

– Ty, wiedźmin to samiec Baby-Jagi? – zapytał przyszedły dentysta, a klamerki na jego zębach nadawały mu wygląd wampira.

– Zrób jakieś czary – poprosiła celebrytka.

– Cza-ry, cza-ry, cza-ry! – zaczęli skandować strażacy, żołnierz i piosenkarki.

Darli się tak głośno, że pani przybiegła z drugiego końca korytarza, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Nic – powiedziała jedna z aktorek.

– Co jest? – pani pochyliła się nade mną.

– Nic – odpowiedziałem.

Jeśli chodzi o pytania, byłem naprawdę twardy. Ojciec mógł łać mnie pasem, żebym przyznał się do czegoś, czego nie zrobiłem, ale nigdy nie wy dobył ze mnie ani słowa.

Bywały tygodnie, kiedy razem z matką chodziliśmy poobijani jak ulegalki, na dworze było trzydzieści stopni, a ja siedziałem w spodniach od dresu, żeby nie było widać siniaków na moich łydkach.

Zatem jeżeli ojcu nie udało się mnie do czegokolwiek zmusić biciem, pani nie wycisnie ze mnie ani słowa, choćby nawet przekonała całą klasę, że można zostać wiedźminem.

Udało mi się przetrwać pierwsze tygodnie, bo zaraz po dzwonku na przerwę uciekałem do biblioteki, gdzie pani bibliotekarka nie mogła się nadziwić, że taki mały, a tyle przeczytał.

W zasadzie wszystko, co znajdowało się na półkach dla pierwszaków, przerobiłem, mając pięć lat. I nikt specjalnie nie uczył mnie czytać. Zrobiłem to zupełnie sam i nawet nie potrafię powiedzieć, jak to się stało. Po prostu się nauczyłem.

Gdyby nie książki, byłbym pewnie drugim Integrycyjnym.

Tylko dlatego potrafiłem przetrwać naprawdę porządne bicie. Zamykałem oczy i myślałem, że ojciec zaraz się zmęczy, a ja ucieknę do łazienki i wyjmę z kosza na bieliznę książkę.

Wtedy jeszcze mieszkaliśmy w ładnym jednorodzinym domu z ogrodem i garażem, ojciec miał firmę, a matka zajmowała się całą resztą. Świat zawalił się, kiedy wspólnik ojca zrobił przekręt i z dnia na dzień straciliśmy wszystko. Pewnego dnia pojawił się smutny

pan z czarną teczką, matka płakała, ojciec się upił, a za parę dni przeprowadziliśmy się do lokalu zastępczego.

Na początku było niefajnie.

Nie mogłem się przyzwyczaić, że ktoś tupie nad głową, a za ścianą na cały regulator wyje telewizor.

W łazience nie było okna, a dno wanny było pokryte grubą warstwą kamienia i po każdej kąpielii miałem tyłek otarty tak, jakbym siedział na papierze ściernym. W końcu sąsiadka poradziła matce, żeby nalać do wanny octu i zostawić na noc. Nie powiem, trochę pomogło, ale na dnie została żółta plama kształtem przypominająca Afrykę. Otarłem sobie łokcie w Afryce – pomyślałem i zacząłem się śmiać, bo z dwojga złego to było lepsze od płaczu.

I w końcu polubiłem swoje życie w Brooklynie.

Tak nazywał się nasz dom. Po prostu ktoś nabazgrał na ścianie „BROOKLYN” i gdy pytano: „Gdzie mieszkaś?”, odpowiadałeś: „W Brooklynie”, i wszystko było jasne.

Bo Brooklyn był tylko jeden.

Dwupiętrowy, odrapany, ze starymi drewnianymi oknami, które raz otwarte nie dawały się zamknąć, z ciekącymi kranami, ze szcurami wielkości kotów buszującymi w śmietniku.

Brooklyn dał mi pierwszą poważną lekcję życia – nie spuszczaś niczego z oka. Nigdy.

Wystarczyło, żebym zostawił swój rower oparty o ławkę i poszedł wysikać się w pobliskie krzaki.

– Ukradli mi rower – poskarżyłem się, wchodząc do domu.

Ojciec tylko na to czekał. Nosiło go od rana i narzeczcie znalazł winnego.

Matce przy okazji też się oberwało, a kiedy się zmęczył, po prostu wyszedł z domu. Wyszedłem za nim, bo chciałem zobaczyć, jak przewraca się na chodnik, ale tym razem dzielnie dobrnął do monopolowego.

To dziwne – w pobliżu było kilka monopolowych i tylko jeden spożywczy, gdzie też można było kupić piwo albo coś mocniejszego. Zupełnie jakby ludzie nie musieli jeść. Zresztą, patrząc na mojego ojca, można było dojść do właśnie takiego wniosku. I to wszystko musiało się skończyć tak, jak powiedziała sąsiadka.

Któregoś wieczoru ojciec próbował się schować do szafy, bo w łazience zobaczył czarnego psa. Kazał mi pójść i sprawdzić, czy ten pies nadal tam jest, ale łazienka była pusta. Doszedł do wniosku, że pies mógł wejść na ścianę, co było absolutnym szaleństwem. Zamiast do łazienki, poszedłem do mamy, a ta wyciągnęła mnie na klatkę schodową, zamknęła mieszkanie na klucz i kazała mi czekać.

Najpierw przyjechała policja, a potem pogotowie i dwu potężnych facetów w pomarańczowych ciuchach zapakowało ojca do karetki.

– Dokąd go zabierają? – zapytałem.

– Do Houston – odparł jeden z ratowników, zanim matka zdążyła otworzyć usta.

– Do hyziola – wyjaśniła sąsiadka.

Matka wepchnęła mnie do mieszkania i przez okno zobaczyłem, jak karetka odjeżdża.

– Tata jest chory – powiedziała. – Pojedzie do szpitala i tam go wyleczą.

Na drugi dzień pojechaliśmy zobaczyć, jak go leczą. Na sali było więcej chorych, ale ojciec był chyba najcięższym przypadkiem.

Mówił, że łążą po nim pająki, ale nie mógł ich z siebie zrzucić, bo był przypięty do łóżka solidnymi pasami.

– Lepiej, żeby dziecko tego nie oglądało – powiedziała kobieta sprzątająca korytarz.

Kiedy matka poszła porozmawiać z lekarzem, zapytałem sprzątaczkę, dlaczego hyziola nazywają „Houston”. Wyjaśniła, że kiedy wiozą jakiegoś świra, podają sobie żartobliwy komunikat: „Houston, mamy problem”. Jak załoga kosmicznego statku Apollo, kiedy coś nawaliło.

* * *

Tego lata nie jeździłem już do ojca w odwiedzinach.

W domu zapanował porządek i nawet Afryka na dnie wanny przestała mi przeszkadzać. Całe dni spędzałem w domu, bo matka znalazła pracę przy sprzątaniu jakiegoś biura, wychodziła z domu wcześniej, a wracała koło piątej i jedliśmy obiad. Czasami po pracy wybierała się do ojca i wtedy razem jedliśmy dopiero kolację.

Ale nie nudziłem się. Na szczęście były książki, które zacząłem po prostu pochłaniać.

– Tak nie może być – orzekła babcia, kiedy wreszcie zdecydowała się odwiedzić nas w Brooklynie i, jak to określiła, „na własne oczy zobaczyć nasz upadek”.

A ja zdążyłem już pokochać Brooklyn, gdzie mogłem do woli bazgrać po ścianach, zjeżdżać w dół po poręczy i strzelać z procy do altany, w której jeden przy drugim stały kubły na śmieci.

– Tak nie może być – powtórzyła babcia.

– Tak czasami bywa – powiedziała matka.

Siedziałem obok i przyglądałem się jej rękom. Paznokci nie malowała od dawna, zresztą i tak były krótkie i połamane, a wierzchy dłoni szorstkie jak dno naszej wanny.

– Nigdy nie miałaś charakteru – ostatnie słowo jak zwykle musiało należeć do babci. – Poza tym ta nora...

Rozejrzała się po pokoju. Prawda, nie był zbyt piękny, ale nazywanie go norą było już przesadą.

– Mogę zabrać Patryka do siebie. Tam przynajmniej będzie miał warunki...

Ale ja nie chciałem opuszczać Brooklynu. Pół roku temu byłbym gotów to zrobić. Jednak teraz, kiedy ojca nie było w domu, nagle zrobiło się cicho i spokojnie. Chciałem być właśnie tu.

Babcia rzecz jasna obraziła się i wyszła, nie dopijając herbaty, matka rozplakała się, a ja poszedłem do swojego kąta, który żartobliwie nazywałem swoim pokojem. Była to po prostu wnęka, w której mieścił się składany fotel, biurko i półki z książkami. Kiedyś, w przyprawie

rodzicielskiej miłości, ojciec obiecał założyć rozsuwane drzwi, ale oczywiście zaraz o tym zapomniał.

Tak czy siak – był to mój własny kąt, który także zdążyłem polubić.

Lato minęło jak z bicza strzelił, liście na drzewach zaczęły żółknąć, wieczory robiły się chłodne, a na moim biurku czekał stos ćwiczeń i zeszytów. Przejrzałem je już pierwszego dnia, kiedy pojawiły się w domu, i nie znalazłem niczego, czego bym już nie wiedział.

Dzieciaki z mojej klasy mieszkały na nowiutkim osiedlu, jakie mieszkańcom Brooklynu mogło się tylko przyśnić. I wszystkie znały się z zerówki. A ja byłem nowy i na dodatek z Brooklynu.

Pierwszego dnia zrobiłem z siebie pośmiewisko, a kilka dni później w klasie wybuchła bomba – ktoś dowiedział się, gdzie mieszkam. Być może szedł za mną do domu. Ktoś inny chlapnął, że ojciec mnie bił, i pewnego dnia w szatni powitała mnie wyliczanka:

– Ameryka, Afryka, ojciec leje Patryka! Patryk krzyczy: „Dość, dość, dość, bo mi tata złamie kość!”

Gdybym miał przed sobą tylko jednego przeciwnika, stanąłbym do walki, ale przeciwników było wielu. Uciekłem. Tego też nauczyłem się w Brooklynie. Jeżeli wiesz, że nie dasz rady, po prostu daj sobie spokój.

Myjąc zęby wieczorem, popatrzyłem na żółtą plamę na dnie wanny i rozplakałem się. Ja, który znosiłem najcięższe lanie. Płakałem, siedząc na muszli, i wycierałem nos rękawem.

Zimę spędziłem, kolejny raz czytając o przygodach Geralta z Rivii.

Po szkole zjeżdżałem z górki w pobliskim parku albo, stojąc na wiadukcie, starałem się trafić śnieżką w przejeżdżający autobus. Pewnego dnia przyłapał mnie na tej zabawie dzielnicowy. Wyjaśnił, że w ten sposób mogę zrobić komuś krzywdę, zaprowadził do domu i zaproponował mojej matce, aby zapisała mnie na zajęcia do Siemachy. Tam, według niego, mogłem nauczyć się grać na gitarze albo malować. Ale nauczyłem się jedynie tego, że mały musi schodzić dużemu z drogi.

Razem z matką doszliśmy do wniosku, że to strata czasu i, jako że świetlica była na tyle daleko, że nie mogłem dojechać tam bez opieki, matka nawet trochę się ucieszyła, bo naprawdę na niektóre rzeczy nie miała czasu.

Przestałem dopytywać się o ojca. Na wuefie mogłem spokojnie założyć krótkie spodenki i demonstracyjnie spacerowałem, pokazując kolegom, że ich wyliczanka nie ma sensu.

Jednak dalej byłem obcy.

Od czasu do czasu ktoś pytał, kiedy zrobię jakieś czary, ale nauczyłem się ich nie słuchać, podobnie jak Integracyjny, z którego nabijali się wszyscy. Integracyjny siedział w swoim kąciaku i puszczał bańki ze śliny, a ja siedziałem w swoim i pod ławką rysowałem komiksy.

Pewnego dnia pożyczyłem od pani z biblioteki telefon komórkowy i zadzwoniłem do mojego najlepszego kolegi z zerówki, ale spieszył się na lekcję języka chińskiego. Zapytałem go, dlaczego chińskiego, i dowiedziałem się, że egzotyczne języki zaczynają być modne.

I to było wszystko. Nie mogłem zaprosić go do siebie, bo kiedy zapytał, dlaczego się wyprowadziłem, odpowiedziałem, że wyjechaliśmy do Ameryki. Co nie do końca było nieprawdą ze względu na Brooklyn. Ten na szczęście leżał na drugim końcu miasta i było mało prawdopodobne, że spotka mnie któryś z dawnych kolegów.

Od tego dnia zaczęła dokuczać mi samotność. Nadal czytałem książki, ale nie zapełniały mi one całego czasu.

Rok szkolny zbliżał się ku końcowi i nagle okazało się, że jestem najlepszym uczniem w klasie. Bo, prócz nauki, co mi pozostało? Wracalem do domu, odrabiałem lekcje, uczyłem się tego, co zadano, i wybiegałem o jedną lekcję do przodu.

Matka dostała zaproszenie na zakończenie roku i z tej okazji założyła sukienkę, w której wyglądała jak modelka, a nie sprzątaczką. Nawet przykleiła sobie sztuczne paznokcie – pomalowane wyglądały jak prawdziwe.

Ścisłałem w ręce lekko klapniętą różę i przyglądałem się innym matkom. Moja wyglądała zdecydowanie najlepiej.

Ale życie byłoby zbyt proste, gdyby w tym dniu nie wydarzyło się coś przykrego.

– A ja panią skądś znam – powiedziała matka przysłego prawnika.

Matka uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Możliwe – odparła wymijająco.

– Ach, pani sprząta w naszym biurze! – zawołała matka prawnika. – Taka pani dziś zadbana...

Miałem ochotę kopnąć ją w nogę albo ugryźć, jak ten czarny pies, który czyhał na ojca w łazience.

Matka na szczęście pociągnęła mnie za sobą. Niosłem w ręce świadectwo i książkę, którą dostałem w nagrodę za wyniki w nauce, i chciało mi się wyc. Dopiero kiedy znaleźliśmy się na ulicy, poczułem, że idę obok najładniejszej matki na świecie.

I nie było to tylko moje wrażenie, bo wszyscy mężczyźni – no, prawie wszyscy – oglądali się za nami. To znaczy za nią.

* * *

Zaczynały się wakacje. Nawet Brooklyn wydawał się piękny ze swoimi popękkanymi murami i dzikim winem obrastającym północną ścianę.

Pachniało kurzem i świeżo skoszoną trawą, a przed domem na ławce siedział mąż sąsiadki i pił piwo.

– Dzisiaj mam wolne – powiedziała matka. – Jeżeli chcesz, możemy pójść na basen.

Tylko nie na basen – pomyślałem. Z pewnością natknąłbym się na kogoś ze swoich dawnych kolegów i wyszłoby na jaw, że nie wyjechałem do żadnej Ameryki.

– Dawno nie byliśmy na basenie – powtórzyła matka. – Przecież lubisz pływać.

Ostatecznie pojechaliśmy za miasto, nad rzekę, gdzie wybudowałem z kamieni tamę, a matka leżała na kocu z kolorowym magazynem.

Poczułem się zupełnie jak dawno temu, kiedy urządzaliśmy za miastem grille. Mieliśmy samochód, składany drewniany stolik i krzesła – wyglądaliśmy jak normalna, szczęśliwa rodzina. Ale to wszystko pamiętałem jak przez mgłę, zupełnie jakbym oglądał dawno temu jakiś film.

Wróciliśmy do domu późno. Było już zupełnie ciemno i, kiedy szliśmy przez park, usłyszałem, jak nad naszymi głowami pohukuje sowa. To nie było przyjemne i pewnie matka pomyślała tak samo, bo wzięła mnie za rękę, zupełnie jakbym był małym dzieckiem.

A może – co dotarło do mnie po latach – to ona poczuła się jak dziecko, które potrzebuje kogoś obok siebie?

Byłem tak zmęczony, że prawie zasnąłem z kromką chleba w ręce.

Rano matka jak zwykle poszła do roboty, a ja zostałem sam. Oczywiście mogłem poprosić, aby zawiozła mnie do babci, jednak ta za każdym razem zaczynała mówić, jak to jej syn, czyli mój ojciec, nie wytrzymał ciężaru odpowiedzialności. A z tego – co nietrudno było zrozumieć – wynikało, że to ja i matka doprowadziliśmy do tego, co się stało.

A tego słuchać nie chciałem.

Tak więc zjadłem śniadanie, złożyłem swój fotel i na chwilę usiadłem na parapecie, nasłuchując, co puszczała w telewizji. To był jakiś nudny serial, w którym wszystkim bardzo się powodziło i wszyscy się bardzo kochali. Zamknąłem okno i wyszedłem z domu. Zamknąłem drzwi na klucz, a klucz powiesiłem na szyi.

Przed domem natknąłem się na Wieśka Złomiarza, który pchał przed sobą wyładowany po brzegi wózek. I nawet nie wiedziałem, jakie spotka mnie szczęście.

– Młody, mam coś dla ciebie – powiedział. Zatrzymał wózek i spod kawałka blachy wyciągnął dziecinny rowerek.

Rowerek był mały, wyglądałem, jakbym na psie siedział, ale dało się na nim jechać. Zrobiłem kółko i podziękowałem Wieškowi. Złomiarz życzył mi dobrego dnia i pojechał sprzedać swoje skarby, a ja pomknąłem do parku. To znaczy do miejsca, które wszyscy nazywali parkiem. Może kiedyś to naprawdę był park. Rosło tam dużo różnych drzew i krzewów, ale asfaltowe alejki były popękane i w wielu miejscach niebezpiecznie wybrzuszone, bo korzenie tych drzew robiły sobie miejsce pod ziemią. I trzeba było naprawdę uważać, aby nie przewrócić się, jadąc rowerem.

Chodzenie po trawie też nie było bezpieczne – można było stanąć na rozbitej butelce i przeciąć sobie nogę. Albo wdepnąć w psią kupę, bo nikt z tych, co przychodzili na spacer z psami, nie sprzątał po swoich zwierzętach. W sumie było to śmieszne, gdyż na spacer do parku przychodzili ci, którzy mieszkali na pięknym

nowym osiedlu, gdzie na skraju każdego trawnika stał specjalny kosz na psie kupy, a w klatkach schodowych w specjalnych koszyczkach leżały papierowe torebki. Trawniki otaczano tam szczególną troską. Pewnego wiosennego dnia zauważyłem tabliczkę z napisem „NIE PRZESZKADZAĆ. MŁODA TRAWA ROŚNIE” i to mnie zupełnie rozwaliło. Taki był ze mnie sentymentalny dupek.

Było wcześniej i po parku nie goniły żadne dzieciaki, jakiś kot zajadał upolowanego przez siebie gołębia, i gdzieś wydzierała się sroka.

Objechałem cały park, udając, że jestem Geralem z Rivii, jadącym na poszukiwanie kolejnego stwora, i zapomniałem o całym świecie. A kiedy sobie przypomniałem, leżałem na asfalcie z rozbitym kolanem, bo pochłonięty zabawą nie zauważyłem korzenia.

Usiadłem na krawężniku, pośliniłem brzeg koszulki i starłem z kolana kurz. Zagoi się, jak zawsze. U dzieciaków z Brooklynu wszystko goiło się jak na psie.

I wtedy go zobaczyłem.

Szedł alejką z plecakiem przerzuconym przez ramię. Na głowie miał zrobioną z papieru czapkę i gwizdał jakąś wesołą melodię. Na mój widok zatrzymał się i zamilkł.

– Hej, mały, nic ci się nie stało?

Siedziałem na krawężniku i gapiłem się na niego jak cielę na malowane wrota.

– Umiesz mówić?

Nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Patrzyłem, nie wierząc własnym oczom. Włosy nieznajomego były zupełnie białe – jak włosy wiedźmina.

Postawił na ziemi plecak i podał mi rękę. Zauważyłem, że miał na niej dziwne błękitne wzory, jakby pomalował sobie przedramię długopisem.

– Możesz chodzić? – zapytał.

Skinąłem głową. Kolano piekło jak wszyscy diabli, ale w porównaniu z łomotem, jaki spuszczał mi ojciec, była to bułka z masłem.

– Mogę.

Podeszliśmy do starej zielonej ławki i nieznajomy przyjrzał się mojemu kolanu.

– Do wesela się zagoi – orzekł.

– Jak na psie – powiedziałem.

Po chwili siedzieliśmy obok siebie jak starzy kolesi, a rower leżał sobie w trawie.

– Ile masz lat? – zapytał nieznajomy.

– Prawie osiem – odpowiedziałem. Co prawda moje urodziny wypadają we wrześniu, ale było do nich bliżej niż dalej.

– Jak masz na imię?

– Patryk.

Nieznajomy schylił się i zerwał rosnącą w trawie koniczynę.

– Jak święty Patryk – powiedział. – Słyszałeś kiedyś o świętym Patryku?

No, jakżeby nie.

Opowiedziałem mu o tym, jak Patryk został porwany i jak wrócił do Irlandii i nieznajomy zdziwił się, że wiem to wszystko.

– Tutaj nie ma takiej koniczyny – podsunął mi roślinkę pod nos.

– Wiem – odpowiedziałem.

– W Irlandii rośnie wszędzie.

Nieznajomy otworzył plecak i wyjął z niego butelkę mineralnej.

– Pan był w Irlandii? – zapytałem, patrząc, jak pije.

– Mam na imię Celestyn – powiedział.

To było najdziwniejsze imię, jakie kiedykolwiek słyszałem. Nigdy przedtem nie spotkałem żadnego Celestyna, ani nie natrafiłem na takiego bohatera w żadnej z książek.

Siedzieliśmy sobie i rozmawialiśmy, kiedy nagle zatrzymał się przed nami patrol straży miejskiej.

Jeden z mężczyzn wziął do ręki stojącą obok nas butelkę, przytknął ją do nosa i powąchał.

– Woda – stwierdził.

To, zdaje się, trochę go rozzłościło, bo spojrzał na swojego kolegę, ale ten bezradnie rozłożył ręce.

– To już nie można z dzieckiem wyjść do parku? – mruknął Celestyn.

W mig pojąłem, o co chodzi. Ostatecznie byłem z Brooklynu.

– Ja chcę do domu... – zamarudziłem, siląc się na najbardziej płaczliwy ton. – Ja chcę do domu, noga mnie boli.

– To jak, rezygnujemy z wycieczki? – Celestyn poklepał plecak.

– Dzisiaj tak – jęknąłem.

– A, tam – Celestyn wskazał ręką pomiędzy drzewa – jakiś pies luzem biega. Bez kagańca.

Patrol ruszył dalej w poszukiwaniu niezdyscyplinowanego właściciela psa, a ja i Celestyn porozumiewawczo spojrzeliśmy na siebie. Byłem z siebie naprawdę dumny. Udało się nam wykiwać straż miejską, a był to nie lada wyczyn!

– Jakbym był psem – powiedziałem – nie chciałbym chodzić cały czas na smyczy.

– A jakbyś kogoś pogryzł, to co? – zapytał poważnie Celestyn.

Po co miałbym gryźć? – pomyślałem. Byłbym uśmiechniętym, zadowolonym psem, trochę bym szczekał na koty i to wszystko.

– Z czego się śmiejesz?

Powiedziałem, co przyszło mi do głowy, i Celestyn też zaczął się śmiać.

Kiedy nadeszło południe, Celestyn wiedział już wszystko o Brooklynie, Wieśku Złomiarzu i o tym, jak dostałem rower.

– Brooklyn, podoba mi się – stwierdził i wyjął z kieszeni kilka kartoników.

– Co to jest? – zapytałem.

– Zaproszenie na obiad do najbardziej eleganckiej restauracji – odparł.

Na słowo „obiad” zaburczało mi w brzuchu.

– Jeśli chcesz, możesz wybrać się ze mną – zaproponował Celestyn. – No jak, masz ochotę?

Jeszcze rok temu nawet nie rozmawiałbym z nieznanym, ale wszystko się zmieniło. Choćby to, że rok temu nikt nie powiesiłby mi klucza na szyi i nie byłbym ani przez chwilę sam.

– Pewnie – powiedziałem.

Wziąłem swój rower, a Celestyn plecak, i poszliśmy w stronę osiedla.

– Jaki mamy dzisiaj dzień? – zapytał, kiedy weszliśmy między bloki.

– Piątek – odparłem.

– Piątek... – Celestyn zmarszczył brwi. – No tak... Dobrze, że sobie przypomniałem. Dzisiaj zaproszono mnie do innej restauracji.

Weszliśmy do małego baru mlecznego na rogu, gdzie Celestyn kazał mi zająć miejsce przy stoliku, wziął dwa kartoniki i poszedł do okienka. Patrzyłem na ulicę, gdzie stał mój rower, ale to chyba było niepotrzebne, bo komu przyszłoby do głowy ukraść coś takiego...

Zjedliśmy ruskie pierogi i popiliśmy barszczem. Inni, którzy podchodzili do okienka, płacili prawdziwymi pieniędzmi i tylko my mieliśmy zaproszenia. Mój przyjaciel naprawdę był nie byle kim.

Wyszedłem z baru dumny jak paw, a kiedy Celestyn włożył mi na głowę trochę wymiętą papierową czapkę, poczułem się jeszcze lepiej.

– Masz w domu gazety? – zapytał, kiedy wróciliśmy na ławkę.